

Mateusz Matyszkowicz: Powrót do klasyków

Czy w naszych głowach jest państwo polskie? Być powinno. Przed nami ciężka praca



Czy w naszych głowach jest państwo polskie? Być powinno. Przed nami ciężka praca

Kiedy w okresie międzywojennym polskie państwo było zagrożone przez sowieckiego sąsiada, nasi filozofie prawa zwrócili się w stronę klasycznej filozofii. To wtedy na KUL-u działał chociażby Czesław Martyniak, jeden z najwybitniejszych polskich filozofów i teoretyków prawa XX w. To znamienne, że zajmowali się oni jednocześnie zarówno klasycznymi podstawami państwa i prawa, jak i opisem oraz krytyką

systemów totalitarnych. Polscy teoretycy jedni z pierwszych w świecie zdołali opisać państwo sowieckie w każdym jego wymiarze. To także w Polsce intensywnie badano nazizm.

Wzięli oni na siebie obronę klasycznych podstaw Europy w przeświadczeniu, że barbarzyński totalitaryzm może obrócić je w pył. Inny z teoretyków, Feliks Koneczny, w klasycznych źródłach widział szansę na ocalenie Europy i wiele czasu poświęcił na pokazanie różnic między cywilizacją łacińską a cywilizacjami barbarzyńskim. Z barbarzyństwem kojarzył totalitaryzm. Z łacińskością – wolność.

Obrona łacińskich źródeł Europy przed barbarzyństwem była jednocześnie obroną słabego jeszcze szkieletu państwa polskiego, któremu zagrażali zarówno wrogowie zewnątrz, jak i wewnętrzna dekadencja – tak niebezpieczna w sytuacji, gdy państwo musi się na nowo zdefiniować po 123 latach niewoli. Gdy nie ma kręgosłupa, nie czas na krytykowanie jego idei.

Stanisław Cat-Mackiewicz – inaczej niż Koneczny, choć przy tym mniej systematycznie – mocniej kojarzył choroby państw totalitarnych z wewnętrznym psuciem się cywilizacji zachodniej. Dlatego tak mocno podkreślał, że Lenin i jego kompani więcej czasu spędzili na Zachodzie niż w Rosji i że tam zarazili się dekadencją, którą następnie zaszczepili w Rosji. W porównaniu z tym importowanym barbarzyństwem lewicowym carska Rosja była cywilizowana i więcej miała z łacińskiej tradycji Zachodu niż zachodni filozofowie tego czasu.

Choroba Europy

Filozofowie, których nazywa się mistrzami lub też ojcami nowoczesności, a przy okazji mistrzami podejrzeń, mieli odrzec człowieka z metafizycznej powłoki, szkodliwego mitu i kośćca, na którym było zbudowane dotychczasowe społeczeństwo. Wywodzący się z lewicy heglowskiej Feuerbach, krytycznie z niego czerpiący Marks i wiedeński lekarz Freud osiągnęli, co zamierzali. Dziś wydaje się niemożliwy powrót do człowieka przed Feuerbachem. Jakby odjechał z tego świata z wilczym biletem.

Tak też przekonują nas współcześni mistrzowie, nawet ci, którzy z nostalgią myślą o dawnych koncepcjach, szczególnie je badają i przekazują studentom. Sami często czują się dobrze w rolach archiwariuszy, czym tylko przypieczętowują dekadentcki charakter naszej kultury i jej niezdolność do zmierzenia się z rzeczywistością.

Badania zatem nad Arystotelesem i św. Tomaszem – zwłaszcza te, które prowadzi się na kontynencie europejskim, tam, gdzie największe wpływy filozofii francuskiej i niemieckiej – są całkowicie oderwane od przedmiotu, który klasyków zajmował. Trochę tak, jakbyśmy zafascynowali się malarzami holenderskimi, ale nie mieli już pasji do poznawania świata, który ich pociągał i nęcił ich pędzle.

Z drugiej strony, istnieją tradycyjnie nastawieni filozofowie, którzy na mocy własnej decyzji postanowili unieważnić wszystko, co stało się w filozofii po Feuerbachu, po oświeceniu, po Kartezjuszu albo nawet po przewrocie nominalistycznym w dojrzałym średniowieczu. Ci przypominają już nie archiwariuszy, ale restauratorów, którzy postanowili odbudować dawną budowlę po to, by wśród szklanych

wieżowców stała sobie średniowieczna twierdza.

Wierzą oni głęboko w to, w co wierzyli Arystoteles i św. Tomasz, cytują ich z pamięci i na każdy z argumentów, który słyszą, odpowiadają, że Tomasz w „Sumie” pisał inaczej. Jest to podobna aberracja i dowód dekadencji, jak postawa archiwariuszy.

Gdzieś zaginął natomiast duch klasyczności, jej niepowtarzalna radość poznawcza i zdolność rozumowania w kategoriach metafizycznych. W pewnym sensie świat cofnął się do czasów barbarzyńskich, kiedy to głębsza refleksja nie mogła wydobyć się na powierzchnię, a próba odwołania się do niej musiała się zawsze skończyć grubiańskim śmiechem kamratów.

Ta dekadencja kultury, która bierze się zarówno z odrzucenia klasyczności, jak i potraktowania jej wyłącznie jako reliktu, ma też swoje polityczne konsekwencje. Bez mocnej filozofii państwo jest słabe – jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało w czasach, gdy polityków nie kojarzymy z filozofią, a prawników z nauką prawa rzymskiego. Jeszcze poprzednie pokolenia prawników uczyły się zarówno filozofii, jak i rzymskiego prawa. Dziś na naszych oczach odchodzi to w przeszłość. Być może nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, jakie to ma konsekwencje.

W miejsce filozofii nieakademickiej i niewystudiowanej, filozofii świadomej, wchodzi filozofia zupełnie inna, tym groźniejsza, że bezrefleksyjna i niekrytyczna. Niemająca przede wszystkim dystansu do samej siebie i zdolności do krytycznej rewizji własnych założeń. Początkowo krytyka metafizyki i klasyczności wydawała się zwycięstwem wolnego umysłu i wielką chwałą filozofii. Ci, którzy odrzucili metafizykę, mieli stać się prawdziwymi filozofami, których nie wiążą już klasyczne kajdany, ale zdać się mogą wyłącznie na siebie.

Z czasem jednak okazało się, że odrzucenie metafizyki stało się początkiem końca filozofii jako krytycznej właśnie podstawy rozumienia porządku świata i miejsca, jakie znajduje w nim człowiek.

Razem z tym wszystkim runęło państwo. Dzisiejsze państwa europejskie przypominają prowizorki, liche konstrukcje, podtrzymywane przez bardzo słabe pojęcia.

Bez metafizyki nie ma państwa

Kryzys metafizyki nie dotyczy tylko samej filozofii pierwszej, lecz także rozmaitych nauk od niej pochodnych lub też korzystających z jej pojęć. Kwestionując metafizykę jako taką, podważamy bowiem cały system pojęć, które ona wypracowała. Jeśli przyjmiemy, na przykład, za Rudolfem Carnapem, że system pojęciowy metafizyki nie różni się zasadniczo od wytworów artysty, z tą tylko różnicą, że ten drugi postępuje uczciwiej, ponieważ nie rości sobie praw do oceny rzeczywistości za pomocą pojęcia prawdy, a jedynie żąda uznania własnego prawa do ekspresji, to w jakiejś mierze runie także tradycyjny model polityki oparty na takich pojęciach metafizycznych, jak przyczyna, suwerenność czy – przede wszystkim – państwo.

Zastosowanie XX-wiecznego kryterium weryfikacji w jego radykalnym neopozytywistycznym sformułowaniu zwróci nas ku prawnoinstytucjonalnemu opisowi sfery politycznej. Państwo zatem zostanie ujęte jako sieć instytucji wytwarzających prawo za pomocą powszechnie przyjętych procedur i do tego prawa się stosujących. Będą one prawo wytwarzać, same się do niego stosować – uznawać jego moc regulującą i wreszcie staną się gwarancją jego powszechnego przestrzegania. Do zdefiniowania tego, co jest normą prawną, jakie procedury są potrzebne do jej uchwalenia i wreszcie, jaką ma moc obowiązywania, zostanie wybrany jako najporęczniejszy

pozytywistyczny model prawa. Pozwoli on uniknąć niepotrzebnych i kłopotliwych pytań o metafizyczną podstawę instytucji i praw. Wprawdzie zawsze można będzie zapytać o to, czy przyjęcie takiej, a nie innej koncepcji uzasadniania nie wymaga uznania metafizycznych założeń, ale pozostanie to pytaniem nierozstrzygalnym z powodu wyeliminowania całego systemu pojęciowego, na gruncie którego taką dyskusję można przeprowadzić.

Wyobraźmy sobie na przykład, że ktoś powie, że za pozytywistyczną koncepcją prawa stoi taka, a nie inna teoria woli, że pojęcie woli ma charakter metafizyczny i jako takie nie spełnia kryterium weryfikacji, ponieważ zdanie „Źródłem prawa jest wola X-a” nie jest zdaniem ani apriorycznym (tu nie ma żadnych wątpliwości), ani zdaniem aposteriorycznym, ponieważ odnosi się do empirycznie nieuchwytnej rzeczywistości, jaką jest wola X-a. Na to oczywiście można odpowiedzieć, że nie chodzi tu o metafizycznie pojmowaną wolę, jest to jedynie skrót myślowy, a właściwą referencją jest akt woli czy też wyrażenie woli przez uprawniony do tego podmiot. A jednak bez metafizycznej bazy pozostanie kłopot z utrzymaniem także koncepcji podmiotu. Ta redukcja będzie trwała tak długo, aż okaże się, że staniemy się zdolni do dekonstrukcji każdego z pojęć tej układanki. Problem zaś źródła prawa zostanie unieważniony jako nierozstrzygalny.

Nie jest moim celem powtórzenie tu całej ponad wiekowej dyskusji z pozytywizmem prawnym, a jedynie zwrócenie uwagi na jego dość arbitralne uznanie. Niezależnie bowiem od wątej podstawy teoretycznej pozytywizm prawny ma tę zaletę, że ratuje czy też ratował dotychczas państwo przed nieuchronną dekonstrukcją jego podstaw. W tym sensie był poręczny – działało się tak przynajmniej do czasu, gdy istniał interes polityczny utrzymania tej całości nazywanej państwem. Zmiana układów interesu na kontynencie europejskim i wzmocnienie

układów ponadnarodowych musi prowadzić do podważenia tego zgrabnego systemu i redefinicji jego podstawowych pojęć.

Kiedy w 1989 r. próbowano na nowo zbudować polskie państwo, stara konstrukcja totalitarna musiała zostać zlikwidowana. W jej miejsce nie pojawiło się jednak nic nowego. Nie było tak, jak w 1918 r., gdy istniała większa świadomość konieczności oparcia państwa na mocnych podstawach.

Drogi wyjścia

Jaka zatem praca stoi przed nami? Błędem byłoby – z jednej strony – myślenie, że jednostka nie może działać nic i że jest bezwolna wobec wielkich procesów historycznych, a już tym bardziej prądów intelektualnych, które zżerają polskie państwo od środka. To groziłoby postawą nazwaną w pierwszej części tego tekstu postawą archiwariusza. Z drugiej strony, błędna jest także postawa restauratora, a przede wszystkim niecierpliwość i zaklinanie rzeczywistości. Czy też próby nadania starego porządku za pomocą politycznego edyktu.

Tu potrzebne jest coś innego – coś na podobieństwo mrówczej pracy Czesława Martyniaka i innych. Potrzeba szkolarstwa i akademickiej cierpliwości. Potrzeba mistrzów, którzy swoich uczniów, krok po kroku i bez intelektualnych fajerwerków, poprowadzą klasyczną drogą. Innymi słowy, potrzeba nowych elit, które państwu polskiemu nadadzą nowy sens.

To wszystko jest bardzo nieefektywne. Czytałem kiedyś o pewnym amerykańskim profesorze literatury, który w czasach lewackiej rewolty spokojnie prowadził nadal swoje seminarium, na którym czytał ze studentami Dantego i innych autorów klasycznych. W ten sposób realizował to, co należało do obowiązku stanu – przygotowywał elity.

Polsce potrzeba całej klasy takich profesorów. Z nich urośnie armia uczniów.

Potrzeba przede wszystkim intensywnej pracy nad sobą – do tego nie jest zdolna żadna rewolucja, żaden jednorazowy manifest, ale żmudna praca. Państwo polskie rodzi się w naszych głowach – tam powstają pojęcia, za pomocą których opisujemy to, co widzimy. Państwo bowiem to nie tylko urzędy i szyldy – państwo przede wszystkim to zdolność definiowania celów i ich realizacja. To definiowanie nie jest możliwe bez metafizyki i to metafizyki w mocnym klasycznym sensie. Póki jej nie ma, istnieje metafizyka zupełnie inna, całkowicie mgławicowa i bezkrytyczna. Metafizyka ulotna.

Czy potrafisz sobie wyobrazić Polskę? Jeśli się tego nauczysz, zrozumiesz, gdzie ma ona zmierzać. Do tego czasu będzie ona leniwym młodzieńcem, który nie do końca wie, co do niego należy.

Przeintelektualizowane i oderwane od ziemi? Właśnie nie. Bardzo konkretne. Europa, jaką znamy, narodziła się w głowie pewnego mnicha, który założył klasztor na Monte Cassino i wychował całą rzeszę następców – to Benedykt z Nursji. Europa narodziła się także w głowie – jakbyśmy dziś powiedzieli – intelektualisty, Boecjusza z Dacji. To wszystko działo się w V w. Od tego czasu na świecie nic się nie zmieniło. Kultura, cywilizacja i państwo powstają w ludzkich głowach. Jeśli one są spaczone, marne będzie także to, co z nich się narodzi.

Temu będzie poświęcony cykl esejów, do których ten jest zaledwie wstępem. A zatem: jak wrócić do klasyczności?

Mateusz Matyszkowicz

Tekst ukazał się w Nowym Państwie Numer 6 (76)/2012